ANIOŁ STRÓŻ

Gazeta dla dzieci.

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 3 CHOJNICE, dnia 28-go stycznia 1926 r. Nr. 4

Pieśni polska!

Pieśni polska — pieśni droga,
Ty przecudna, wdzięczna, słodka,
Tyś najdroższy skarb od Boga
I dla pana i dla kmiotka.

Pieśni nasza, skarbie miły,
W tobie czaru urok błyska.
Gdy cię wrogie gnębią siły,
I wróg tobie potwarz ciska.

Lecz niebiańsko głos twój dzoni,
Wstrząsa sercem, wstrząsa duszą,
Gdy rozśpiewasz się po błoni —
W fujarkową pieśń pastuszą.

W tobie moc jest polskich dzwonów.
I roskoszny szum gaików.
I modlitwa jest zagonów,
I szmer naszych rzek, strumyków.

Pieśni nasza — skarbie drogi, —
Cóż za dziwne masz ponęty,
Bo ty niesiesz w nasze progi
Miłość słodką, ten dar święty.

W bólu serca — toś ty rzewna,
Lecz jak balzam znów kojąca.
A w miłości tyżeś śpiewna,
A rozkoszą tyś pojąca.

A gdy siłą w świat wyleciesz,
Na znak wiary, życia mocy —
To jak gwiazda cudnie świecisz
Na błękicie ciemnej nocy.

Pieśni nasza, tyś potężna, —
Ty chronisz lud od zguby, —
Z tobą wroga on swycężał, —
Boś ogniowe przeszła próby.

Pieśni nasza, skarbie drogi,
W tobie uczuć wyraz tkliwy, —
Ty wieśniacze strzeżesz progi
Błogosławisz polskie niwy. —

Pieśni nasza — pieśni miła,
Nie porzucim nigdy ciebie, —
— W Tobie jest potęgi siła. —
Ty nam będziesz wiecznie w niebie.

Pan Jezus pamiętał i o ptaszkach.

Jezus był jeszcze małem chłopięciem, kiedy go raz Matka zostawiła w domu samego, musiała bowiem pójść na pół dnia do dobliskiego miasta, gdzie Józef miał od kilku miesięcy dużą robotę stolarską.

Była naonczas straszna zima. Całemi tygodniami mróz nie zelżał ani na godzinę. Śnieg nie tajał, ale ledwie na parę dni przestał nieco sypać i uleżał się twardo, znowu go nocą tyle nawiało, że trudno było rankiem wydostać się na pole, by nakarmić bydło. Narzekali też ludzie mocno na srogą zimę, jakkolwiek im jeszcze jadła nie brakło po bardzo szczęśliwem lecie ślicznych urodzajów. A liści gorze, dokuczyła zima ptactwu i zwierzynie po lasach, bo gadzinie koło domu to się jeszcze nieźle działo przy ludziach, którzy ją żywili.

Ale ptactwo biedne, nacierpiało się ono nie mało! Ni się to gdzie schować przed mrozem i śnieżycą, ni się gdzie pożywić i pokrzepić członki skostniałe, mizerne... A ludziska jeszcze biednego wróbla odganiali bez miłosierdzia od progu, by — broń Boże — nie zjadł tego, co przed dom rzucili dla swojego drobiu.

Padały też wróble po polach z zimna i głodu pospołu z innem skrzydlatem stworzeniem, niby od mrozowego powietrza. Czasem tylko niektóry, widząc co się święci, przytulił się niepostrzeżenie pod najbliższą strzechę i spokojnie siedząc w słomie, czekał chwili, kiedyby mógł cichaczem porwać z podwórka ziarno rzucone kurze lub oddziobać kawałek nadgnitego ziemniaka, którego pies nie dokończył...

Właśnie zobaczył to mały Jezusek. Sprzykrzyło mu się w izbie samemu, więc owinąwszy się w chustkę matczyną, drzwi nieco uchylił i wyjrzał z progu. A tu ot dwa wróbelki wynędzniałe biję się o ziarno, które kogut zostawił na śniegu przed Józefową chałupą... Żal się Jezusowi zrobiło. Aż mu łzami zaszły miłe oczęta na myśl, że zziębłe wróbelki muszą być bardzo głodne, skoro się tak biją z sobą o jedno ziarnko grochu.

Szuka tedy chłopię boskie po izbie, coby można dać ptaszętom. Zobaczył Jezusek na przypiecku miskę kaszy i dalej — wdrapał się na ławę, ściągnął miskę i podniósł ją na próg... Nabrał kaszy w palce i rzucił garść wróblom...

Za chwilę cała gromada ptasząt zleciała sie przed próg Józefowej chaty. Jezusek ciągle stał w drzwiach i sypał na śnieg ziarno, a ptactwo ciągnęło mu się do nóg bez końca. Zlatywały się całe stada i jadły chciwie, a ziarna niezabrakło. Kaszy z miski nie ubywało, chociaż Jezus ciągle nabierał i sypał...

Naprzeciwko, w oknie jakiegoś zamożnego żyda, wisiała klatka z kanarkami. Naonczas kanarki wyglądały jeszcze tak samo jak wróble, ale że śpiewały ładnie, więc chociaż były szare, zamożni ludzie trzymali je w klatkach w domu. Kanarki z sąsiedniego domostwa widziały, jak ptactwo jadło przed chatą Józefową — i chociaż były cały dzień dobrze karmione, z zawiści podniosły głośną wrzawę. Domyślił się Jezus o co idzie ptasznym śpiewakom — i uśmiechnąwszy się do nich zdaleka, zawołał:

— Cicho, cicho, ptaszęta! Macie wy tam dość jadła, dajcie więc jeść spokojnie tym wygłodniałym, przeziębłym biedakom — i sypnął znowu garść ziarna na śnieg dla wróbelków.

Wtedy łakome kanarki z zazdrości pożółkły nagle i odtąd cały ich ród jest zawsze żółty.

A wróbelki, wdzięczne Jezusowi, jedne po drugich podbiegły w skokach do niego i dawały mu się chwytać. Brał je Syn Marji w ręce i głaskał po zmarzniętem pierzu... Wtedy z radości zaćwierkały głośno wszystkie wróble które dotąd były zawsze nieme. Stwórca pozwolił im pierwszy raz głosem wyrazić wdzięczność Panu Jezusowi i dotąd na Jego cześć po wszystkie czasy ćwierkają wróble na całym świecie i dziękują Mu, że litości nauczył ludzi, którzy też szarym ptaszętom, za przykładem Chrystusa, nie dają wyginąć wśród zimy, lecz sypią dla nich ziarno i okruszyny z własnych stołów.

Na lodzie.

Wysypała się gromada
Na lodowy szlak,
Jak pieniąca się kaskada,
Co w podskokach z góry spada,
I mknie w dal, jak ptak,
Wysypała się gromada
Na lodowy szlak.
Szlak usłała mroźna zima
Skrzydłem — łyżwy stal,
Nikt ich w pędzie nie zatrzyma.
Ledwo dojrzyć ich oczyma,
Gdy szybują w dal...
Szlak usłała mroźna zima
Skrzydłem — łyżwy stal.
Mroźny podmuch twarz rumieni,
Ale fraszka chłód!
Lekko naprzód pochyleni,
Po srebrzystej mkną przestrzeni,
Jak po toni wód.
Mroźny podmuch twarz rumieni,
Ale fraszką chłód!
Już lód skrzypnął, łyżwa dzwoni.
Kreśląc śmiały łuk.
Rącze nogi mają oni,
Młodą krew, co tętni w skroni,
Zręczność chyżych nóg,
Już lód skrzypnął, łyżwa dzwoni,
Kreśląc śmiały łuk.
Tną lód, aż przechodzą ciarki...
Wietrze, ty ich goń!
Lecz łyżwiarze i łyżwiarki,
Tym, co padną w jeździe szparkiej
Dają bratnią dłoń...
Tną lód aż przechodzą ciarki...
Wietrze, ty ich goń!

Gołębie Swiętego Dziecka.

Kiedy Jezus był jeszcze malutki i swemi smagłemi nóżkami w podkasanej koszulce uwijał się po uliczkach Nazaretu, siła jego cudowna objawiła się w niezwykłych figlach.

Kiedyś naprzykład schwycił ze straganu suchą rybę, wrzucił w cysternę i kazał jej pływać, a ryba pluskała się jak żywa, chwytając okruszyny, które jej sypała uszczęśliwiona gromadka towarzyszy jego dzieciństwa.

Gdy podczas zabawy urwał się sznurek, złamał kij lub stłukła skorupka, święte dziecko z poważną minką, bez kleju, zapomocą dotknięcia łączyło w całość popsute przedmioty.

Innym znowu razem podczas gry w chowanego małe berbecie, chcąc go zwieść, zamiast na dziedzińcu, jak było umówione, schroniły się w izbie, a wciągnięte do spisku matki, gdy Jezus spostrzegł kędzierzawą czuprynkę za piecem, zaczęły dowodzić, że to koźlęta...

— Koźlęta — odparł Jezus — to niech wychodzą do pasterza!

Jakoż ku zdumieniu wszystkich dzieciaki wyskoczyły w postaci koziołków z bródkami, różkami, całe kosmate i, merdając ogonkami, jęły się tulić do Chrystusą.

Chrystus je głaskał, potem tupnął bosą nóżką — i w momencie przemieniły się napowrót w dzieci, tylko z przerażenia stały dalej na czworakach i beczały na cały głos.

Chcąc je pocieszyć, Chrystus wolą swoją wprawił w ruch glinane figurki, suszące się na przyźbie. I lalki maszerowały, ptaszki frunęły, a baranki pobiegły na trawę i pasły się zupełnie jak prawdziwe.

Uszczęśliwieni malcy śmieli się do łez, ale swoją drogą z powodu tych cudów zaczęły trochę obawiać się Jezusa i stronić od niego, skutkiem czego często musiał się bawić sam.

Pomysłów mu nie brakło, tem bardziej, że wszystko udawało mu się znakomicie.

Gdy w obejściu swej chatki zakładał ogród, powtykane w piasek zerwane kwiaty i zioła, podlane jego rączką, nie więdły ale rosły, rozwijały się i kwitły piękniej i dłużej niż inne.

Skoro sklecił z desek ul, zaraz nazajutrz osiedlał się w nim mocny rój, a miód tych pszczół był jasny, jak słońce, a słodki jak serce małego ich gospodarza, który, bezpiecznie nurzając różny paluszek w plastry, namaszczał nim czerstwy chleb ubogim.

Łódki robione z wiórów, których było na podwórzu pod dostatkiem, pływały mu i wdół i w górę strumyka, podług życzeniu małego żeglarza, a puszczone w powietrze, unosiły się lekko i zgrabnie, niby ptaki, lub motyle.

Czasem z żartów pomagał staremu ojcu cieśli, wówczas robota szła niezwykle szybko i składnie, aż się Józef dziwował, nie wiedząc nic o tem, że dość było dziecku dotknąć tylko deski ręką, by się wydłużała do żądanej miary, traciła sęki i stawała się gładka i piękna, jak tarcica cedru.

Gdy zaś w mydlinach matki Marji umaczał słomkę, nie tylko wydawane jego ślicznym buziakiem bańki mieniły się wszystkiemi kolorami tęczy, grały ogniami najdroższych kamieni, ale bielizna puszczała łatwo i wyjęta lśniła, aż bolały oczy.

Podczas słoty Jezus miał zwyczaj siadywać na progu i z rozmiękłego mułu wylepiał kwiaty, liście, zwierzęta, co mu na myśl przyszło.

Pewnego razu, gdy się tak bawił w sobotę i właśnie wyrobił misternie tuzin czubatych gołębi, spostrzegł to przechodzący faryzeusz i jął ostro gromić chłopca, że narusza szabat, pracując w dzień święty.

Wystraszone dziecko surowością tonu, machnęło rączką — i gołąbkie, rozwinąwszy skrzydła, uniosły się do góry.

Faryzeusz, sądząc, że się omylił, poszedł dalej, szepcąc modlitwy, i nie zauważył, jak gołębie w lecie z płowych przemieniają się w śnieżno białe i świecą niezwykle w błysku nagłego słońca, niby garść liljí, rzuconych w powietrze.

Spłoszenie tych gołębi było jakby ostatnią igraszką Chrystusowego dzieciństwa, w tej chwili bowiem począł po raz pierwszy się zastanawiać nad surowością zakonu Starego Testamentu, by stać się wkrótce twórcą i męczennikiem Nowego — Zakonu Miłości Boga i bliźniego.